

## Doświadczyć miłości i dawać miłość

Z Ewą Jaworską rozmawia o. Jerzy Szyran

**Jerzy Szyran:** Współczesnemu człowiekowi miłosierdzie zazwyczaj kojarzy się ze słabością i uległością. Miłosierdzie jest dla osób, które są niezdolne, by domagać się sprawiedliwości czy wręcz odwetu, i odwołują się do miłosierdzia. Patrząc zatem z perspektywy własnego doświadczenia Bożej miłości, jak określiłaby Pani miłosierdzie Boże? Czy rzeczywiście jest to znak bezradności wobec zła?

**Ewa Jaworska\*:** Kiedy dziś obejmuję spojrzeniem swoje życie wiary, widzę, że jest ono przeniknięte miłością Boga do mnie. Ta miłość zawsze mnie chciała, oczekiwała, poszukiwała, oczyszczała, podnosiła i ożywiała. Po moim, nie tak znowu dawnym, powrocie do relacji z Bogiem-Ojcem, prześledziłam różne drogi mojego życia, które doprowadziły mnie do chwili obecnej. Chociaż było w nich wiele trudnych wydarzeń, ciągnące się skutki zranień z dzieciństwa, konsekwencje popełnionych grzechów, wyrządzone krzywdy, to w tych różnych ciągach przyczynowo-skutkowych dostrzegam działanie Boga, który nieustannie był obecny i zabiegał o mnie. Byłam i nadal jestem pełna zadziwienia oraz wdzięczności za tę cierpliwość i wierność w prowadzeniu mnie do obecnej chwili, w której czuję się po prostu szczęśliwa. Chociaż nie udało mi się zrealizować różnych pomysłów na życie, co bywało dla mnie ciężkim doświadczeniem, dziś dziękuję Bogu za udaremnianie tych moich

---

\* EWA JAWORSKA (ur. 25.10.1983). Absolwentka Wydziału Teologicznego i Wydziału Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Pracuje w domu dziecka, prowadzonym przez Franciszkanek Rodziny Maryi na warszawskiej Białołęce oraz jako wolontariuszka w hospicjum. Działa we franciszkańskiej grupie przy kościele oo. Franciszkanów w Warszawie, w grupie „Anima” przy Archikatedrze św. Jana Chrzciciela, oraz śpiewa w Chórze Archikatedry Warszawskiej.

planów, które tylko pozornie były sposobem na spełnienie pragnień mojego serca. Wobec zła i cierpienia obecnego w moim życiu istotnie bywałam bezradna, zwłaszcza, gdy nie umiałam wybaczyć sobie czy komuś innemu popełnionego grzechu i nie byłam umocniona łaską sakramentalną. Teraz, uczestnicząc w codziennej Eucharystii, doświadczam tego, że największym dowodem Bożej miłości wobec mnie jest krzyż Chrystusa. Jeżeli sam Bóg przeszedł drogę tak wielkiego uniżenia i cierpienia, aby okazać człowiekowi swoje miłosierdzie, to czy jest to droga słabych? Myślę, że odwoływanie się do miłosierdzia nie jest oznaką słabości, ale aktem wiary i drogą do pojednania. Pełniąc uczynki miłosierdzia, wchodzimy w ślady Chrystusa-Sługi, a zarazem służymy Jemu samemu w potrzebujących braciach. Kiedyś zasłyszałam myśl o miłosierdziu Bożym, która zainspirowała mnie do sformułowania takiej osobistej, praktycznej definicji miłosierdzia - jest to miłość pochyłająca się, aby podnosić. Bóg w swoim Synu uniżył się, jak tylko było to możliwe, aby nawet z najgłębszej nędzy podnieść człowieka ku sobie. Naśladując Go, mamy czynić podobnie - pochyłać się nad ubogim, aby zaradzając jego biedzie, pomóc mu zbliżyć się do Boga.

**J.Sz.:** W „Wyznaniu wiary”, sformułowanym przez bł. Pawła VI w 1968 r., znajdujemy punkt mówiący, że „Bóg jest Sędzią sprawiedliwym, który za dobro wynagradza, a za zło karze”. W tradycji Wschodniej mnisi pytali: „Ile jest warta jedna zagubiona owieczka?” i odpowiadali, łapiąc za frędzel *komboskionu*<sup>1</sup>: „Warta jest całej krwi Jezusa, która za nią była wylana”. Gdzie zatem przebiega owa granica między Bogiem-Sędzią sprawiedliwym a Jego miłosierdziem?

---

<sup>1</sup> gr. *komboskion*, ros. *czotki* - sznur modlitewny bardzo rozpowszechniony na chrześcijańskim Wschodzie, używany do odmawiania modlitwy Jezusowej. *Czotki* uplecione są ze sznurka wełny. Każdy z węzłków (w zależności od wykonania może ich być 10, 33, 50 lub 100, oddzielonych od siebie drewnianymi koralikami), składa się z siedmiu krzyżujących się ze sobą splotów. Istotnym elementem jest frędzel, którym zakończony jest krzyżyk *czotki*. Według starych podań mnichów Wschodnich oznacza on Boże miłosierdzie (miłosierną rękę Boga), które wypływa z krzyża (jak bardzo ta interpretacja koreluje z promieniami wychodzącymi z Serca Jezusa na obrazie Bożego Miłosierdzia). Symbolika tego frędzla jest głęboko zakorzeniona w Biblii, gdyż nawiązuje do frędzli u żydowskiego płaszczka *cicit* (por. Pwt 22,12; Lb 15,37-41) oraz uzdrowienia kobiety cierpiącej na krwotok (por. Mt 9,20).

**E.J.:** Myślę, że to rozgraniczenie staje się widoczne dla człowieka, który często w osobistym rachunku sumienia staje w prawdzie przed Bogiem-sprawiedliwym Sędzią. Prawe sumienie odpowie mu, że jest grzesznikiem, codziennie potrzebującym Bożego przebaczenia, niezależnie od tego, jakie przykazanie przekroczył. To poczucie własnej grzeszności otwiera drogę do nawrócenia. Wszystko otrzymaliśmy od Boga i wszystkiego od Niego potrzebujemy, a On tylko czeka, aby człowiek otworzył serce i pozwolił się obdarować. Dla zbawienia człowieka dokonał już wszystkiego, człowiek zaś potrzebuje jednego - przyjąć miłość Boga i nawracać się. Dramatyczne jest to, jak wiele osób przynależących do Kościoła żyje w grzechu, nie podejmując wysiłku zmiany życia czy choćby głębszej refleksji nad relacją z Bogiem w obliczu zbliżającego się nieustannie kresu życia. Nie umiem pojąć, jak można żyć bez bojaźni przed tą chwilą Bożego sądu. Pytania o to: czy i kogo spotkam po śmierci, i co się wtedy wydarzy, były pierwszymi pytaniami mojej budzącej się świadomości religijnej. Nosiłam je już w sobie, przystępując do I Komunii świętej. Chociaż zawsze byłam w Kościele, z różną częstotliwością przyjmowałam sakramenty święte i nie żyłam zbożnie. Wprawdzie w wieku młodzieńczym przeżyłam przeobrażenie duchowe i zasmakowałam relacji z Panem Jezusem, jednak potem się pogubiłam. Spowiadałam się, ale nie nawracałam. Na szczęście doskwierała mi tęsknota za przyjaźnią z Bogiem, a przy tym nie uległ zagłuszeniu głos sumienia<sup>2</sup>. Wreszcie skutecznym wstrząsem stała się spowiedź generalna, do której przystąpiłam podczas rekolekcji ignacjańskich. Zdecydowałam się na nie, ponieważ czułam, że coś we mnie musi się radykalnie zmienić i byłam zdecydowana na tę zmianę. Dopiero poprzez sakrament dostałam łaskę, aby ujrzeć, jaka jest skała grzechu we mnie. Oniemiałam! Kiedy po spowiedzi weszłam do kaplicy, po raz pierwszy w życiu miałam świadomość, przed Kim stoję i co On dla mnie zrobił. Zrozumiałam wtedy, że naprawdę nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia, poza ofiarą Jezusa, że On umarł na krzyżu zamiast mnie. W osobistym doświadczeniu dane mi było mocno przeżyć tę

---

<sup>2</sup> Por. *Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes”*, w: Sobór Watykański II, *Konstytucje. Dekrety. Deklaracje*, Poznań 2002, nr 16.

prawdę, że moje życie jest warte całej Krwi Chrystusa wylanej za mnie. Dzięki i chwała Mu za to!

**J.Sz.:** Każdy kapłan winien być wielkodusznym szafarzem Bożego miłosierdzia. Szczególnymi punktami stycznymi w relacjach pomiędzy kapłanem a osobą świecką są spotkania w sakramencie pokuty i pojednania oraz w głoszeniu słowa Bożego. Jakiej zatem Dobrej Nowiny oczekuje Pani, szczególnie w „Roku Miłosierdzia”, w słowie pouczenia w konfesjonale?

**E.J.:** Na to pytanie chciałbym odpowiedzieć, przytaczając słowa Pana Jezusa wypowiedziane do s. Faustyny, kiedy po popełnieniu pewnego błędu ze skruchą Go za to przeproszała. Pan Jezus powiedział: „Gdyby nie było tej drobnej niedoskonałości, nie przyszedłabyś do mnie. Wiedz, ile razy przychodzisz do mnie uniżając się i prosisz o przebaczenie, tyle razy wylewam cały ogrom łask na twą duszę, a niedoskonałość twoja niknie przede mną, a widzę tylko twą miłość i pokorę; nic nie tracisz, ale wiele zyskujesz...”<sup>3</sup>. Z ust spowiednika chciałabym słyszeć echo tych słów Jezusa, pobudzających nadzieję i gorliwość.

**J.Sz.:** Z pewnością w tym szczególnym czasie padnie z ambon wiele słów o Bogu miłosierdzia. Jakiego Boga chce Pani zobaczyć w kaznodziejskim przepowiadaniu duszpasterzy?

**E.J.:** Nie wyrażę jakiegoś oryginalnego pragnienia... w przepowiadaniu kaznodziejskim chciałabym słyszeć o Bogu z obrazu Pana Jezusa miłosiernego.

**J.Sz.:** Na co dzień pracuje Pani w domu dziecka. Co kierowało Panią, gdy zdecydowała się Pani na podjęcie tej pracy-służby miłości najmniejszym i opuszczonym?

**E.J.:** Podjęta przeze mnie decyzja nie była wynikiem poszukiwań opartych na podejmowanych próbach czy też dziecięcym marzeniem, które zrealizowałam. Moje życie jest dla mnie samej dowodem na to, że

---

<sup>3</sup> F.H. Kowalska, *Dzienniczek. Miłosierdzie Boże w mojej duszy*, Warszawa 2005, nr 1293.

Bóg naprawdę odpowiada na modlitwę i skierowane do Niego pytania. Kiedy podejmowałam decyzję co do kierunku studiów, zdawałam sobie sprawę z tego, że nie chodzi tylko o wybór zawodu. Wiedziałam, że stoję przed wyborem generalnego kierunku dla swojego życia. Niedługo przed maturą chodziłam w kółko po pokoju, zadając pytanie Bogu: „Co mam robić?” Kompletnie nie wiedziałam, gdzie się sprawdzę i czego chcę, a wszystkie moje wyobrażenia natychmiast były blokowane przez kompleksy. Po pewnym czasie tego wołania przyszła zupełnie jasną odpowiedź, jakby zapaliło się światło. Dosłownie zatrzymałam się i zrozumiałam, że mam pójść do ludzi, tych najmniejszych i najbiedniejszych, a znajduję ich w domu dziecka. To nowe pragnienie przyszło z radością i pokojem, a serce natychmiast ukierunkowało się na ten cel. Jednak zanim nastąpiła realizacja, sama wymagałam wychowania i kształtowania. Podjęłam inny kierunek studiów. Kiedy po kilku latach, równoległe do teologii rozpoczęłam studia pedagogiczne, szybko przyszły zniechęcenia. Obciążała mnie wzrastająca świadomość tego, że w tym zawodzie ani pieniądze, ani status społeczny, ani większe perspektywy kariery na mnie nie czekają. W tamtym czasie jeszcze nie byłam zadeklarowana, na czym najbardziej mi w życiu zależy. Przy tym nadal obawiałam się, że w domu dziecka po prostu sobie nie poradzę z powodu swoich nieumiejętności. Jednak Panu Bogu ufałam, więc w rozterkach poszłam przed Najświętszy Sakrament zapytać, co robić. Dźwięczało we mnie wtedy pytanie o to, jak nie zmarnować życia? Pan odpowiedział, a ja odeszłam z decyzją w sercu, że moje życie będzie życiem ofiarnym. Zaryzykowałam. Po siedmiu latach pracy w domu dziecka mam za sobą wiele pięknych chwil, dużo trudnych doświadczeń, ogromną pracę nad własnym charakterem oraz przekonanie, że jestem tam, gdzie powinnam być. Zadziwia mnie to, jak Pan Bóg rozszerza moje serce, uzdalniając je do przyjmowania kolejnych nowych osób, nie tylko dzieci, ale też ich rodzin, współpracowników, wolontariuszy, choć czasami wydaje mi się, że już nie umiem otworzyć się na kolejną relację. Zapewne przyjdzie czas pożegnania się z dziećmi i siostrami, jednak zawsze ten dom będę uważać w pewien sposób za swój. Wspólna praca i zaangażowanie w walkę o dobro człowieka otwierają w ludziach przestrzenie, które w innych działalnościach raczej się nie otwierają.

**J.Sz.:** Czy w swoich codziennych spotkaniach z tymi dziećmi czuje się Pani w jakimś sensie szafarką Bożej miłości?

**E.J.:** Dzieci z domu dziecka są pozbawione naturalnej opieki rodziców, choć najczęściej nie są sierotami naturalnymi. Nawet jeśli rodzina utrzymuje z nimi kontakt, to zwykle jest on trudny, a przede wszystkim ograniczony i niewystarczający. Natomiast one potrzebują bezpośredniego doświadczenia miłości i oczekują go w bardzo prozaicznych sytuacjach, o każdej porze dnia i nocy. Nie chodzi im o deklaracje czy obietnice, ale konkret: obecność, uśmiech, życzliwy ton głosu, przytulenie, kiedy przyśni się coś złego, podanie herbaty w ulubionym kubku, pomoc w ubraniu się, posłuchanie razem muzyki, odpytanie z tabliczki mnożenia. Te potrzeby i pragnienia nie mają końca, a ja, obejmując dyżur, czuję się po prostu jak matka sześciorga, siedmiorga, ośmiorga dzieci..., bo takie mam zadania. Powiedziałam wcześniej, że miłosierdzie jest dla mnie miłością, która się pochyła. Przychodzi mi to czasami na myśl, gdy faktycznie muszę się pochylić. Lubię zwłaszcza chwile przed snem, kiedy dzieci zabiegają, aby je utulić, pocałować, zrobić krzyżyk na czole i zamienić poufale kilka zdań. Wtedy to pochylenie się jest bardzo dosłowne i wymowne. Celem tych drobnych gestów nie jest załatwienie czegokolwiek, ale okazanie miłości, co pozwala dzieciom zasypiać spokojnie z poczuciem, że są kochane. Kiedy dłużej zastanawiałam się nad tak pięknie postawionym pytaniem, ucieszyłam się, że mogę na nie odpowiedzieć pozytywnie. Mogę się czuć szafarką Bożej miłości, ponieważ przychodzę do tych małych dawać im to, co otrzymałam dla nich od Pana Boga. To On wlewa mi w serce miłość do nie swoich dzieci, które stają się moimi. Nie jestem ich mamą biologiczną, nie mam wobec nich zobowiązania rodzicielskiego, jestem w relacji z nimi przez pewien tylko czas ich życia, ale przez ten czas mam radość i powołanie do tego, aby obdarzyć je macierzyńską opieką i miłością. Oczywiście, rodzi się instynkt macierzyński, jednak gdyby zaangażowanie wypływało z potrzeby realizacji własnego instynktu i własnych potrzeb, byłby to po prostu egoizm. Moje intencje również musiały przejść oczyszczenie. Miało to miejsce zwłaszcza w początkowym okresie pracy, kiedy doświadczyłam wielu trudności w relacjach z dziećmi, a miałam wtedy w grupie nastolatki, inaczej niż

obecnie. Zarówno mnie samej, jak i im ze mną było ciężko, zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, że świadczyć miłosierdzie mogę tylko wtedy, gdy sama przyjmę je z ręki Bożej. Staję się żebrakiem przed Panem Bogiem, prosząc o to, czego mi już zabrakło: cierpliwość, wytrwałość, czas, siłę, mądrość, miłość... A On, skoro powołuje mnie do tego zadania, wkłada w moje serce i ręce te dary, z którymi mogę pójść służyć.

**J.Sz.:** Czy Pani doświadczenie miłości z domu dziecka pozwala lepiej zrozumieć ojcowską i macierzyńską miłość Boga względem nas, przybranych dzieci?

**E.J.:** Nie tylko rodzicielską miłość Boga, ale też braterską miłość między ludźmi. Na pewnym etapie poszukiwania klucza do budowania relacji z podopiecznymi, uświadomiłam sobie, że te dzieci, w sposób szczególny można określić dziećmi Bożymi. Pozbawione opieki i miłości rodziców, którzy nie umieją kochać w sposób odpowiedzialny swego potomstwa, naprawdę są sierotami, które za Ojca mają Pana Boga. Uderzyło mnie to z pozoru oczywiste stwierdzenie. Do tego ten Ojciec zaufał mi na tyle, że swoje przybrane dzieci powierza mojej opiece. Wielka odpowiedzialność. Takie światło przyszło na osobistej drodze odkrywania ojcowskiej miłości Pana Boga i własnego dzieciństwa wobec Niego. Tym samym zobaczyłam, że te moje przybrane dzieci są równocześnie moimi małymi siostrami i braćmi. Jestem zupełnie przekonana, że nie zastąpię rodzica osieroconemu dziecku, będąc wychowawcą w domu dziecka. Nie mniej przypadają mi jednak do spełnienia zadania rodzica i chociaż jestem kobietą, nieraz muszę znaleźć w sobie siłę, żeby zastąpić miłość i rękę ojcowską. Mam świadomość, że dzieci potrzebują czułości, przygarnięcia, takiego bezinteresownego oddania matki, ale równie, a może nawet te dzieci bardziej, wymagają stanowczości, dyscypliny, rozbudzania ambicji, podnoszenia wysoko poprzeczki, a także poczucia, że są pod opieką kogoś silnego. Faktycznie, sytuacje, które mają miejsce między mną a dziećmi, unaoczniają mi moją własną postawę jako dziecka wobec Pana Boga. Ten bunt dzieci, który dość często przeżywam, ta niechęć do poprawy, niefrasobliwość w popełnianiu ciągle tych samych błędów, często obnaża we mnie moją własną postawę i moją trudność do nawrócenia. Znajdując się w miejscu rodzica, staję przed dylematami, jak

postąpić, jakie środki zastosować, aby pozwolić temu dziecku się zreflektować, co przyniesie mu korzyść? Codziennie staję w sytuacjach, w których muszę wyciągnąć konsekwencje za czyn popełniony przez małego winowajcę. Są to najczęściej jakieś drobne uchybienia, ale wiem, że zaniedbywanie ich może doprowadzić do wyrośnięcia w przyszłości większej wady. Jakbym wyrywała codziennie małe chwasty, nie dając im się rozrosnąć. Dostrzegam tu podobieństwo do pracy, którą trzeba wykonywać, pielęgnując własne sumienie.

**J.Sz.:** Dziękuję za rozmowę.